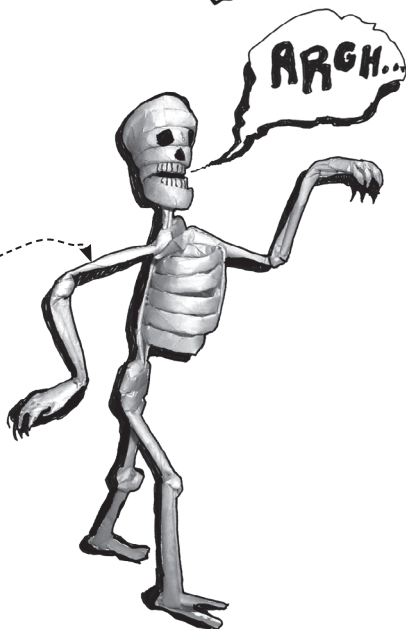


KASIA
KELLER

W KOŁO MACIEJU

ilustrowały
Zofia Zabrzaska
i Kasia Keller •



Wydawnictwo Skrzat
Kraków

*Dla Dawida i Maćka,
w podziękowaniu za chaos, jaki nieustannie
wprowadzają w moje życie, z którego mogę
czerpać pomysły pełnymi garściami.
I dla Piotra, dziękując za pomoc przy
makietach i treści oraz za okresowe
ujarzmianie wymienionych wyżej.*



Ta moja wyobraźnia mnie kiedyś zabije.

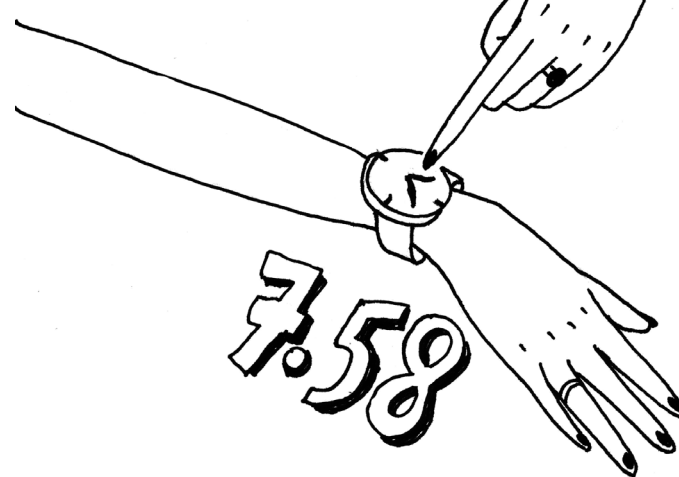
Przynajmniej tak twierdzi mama. Choć tata uważa, że zabija raczej brak wyobraźni. Sam nie wiem, które z nich ma rację, ale to pewnie wyjdzie w praniu. Tak czy inaczej, moja wyobraźnia to strasznie dziwne zjawisko – pojawia się oczywiście w najmniej odpowiednim momencie, żeby mnie zupełnie pochłonąć, wymiętosić, przeżuć, a potem w równie niefortunnym momencie wypluć i narazić na śmieszność otoczenia. Jednak największym problemem jest to, że przychodzi bez ostrzeżenia, nawet wtedy, kiedy ja zupełnie nie mam dla niej czasu. I tu moi rodzice znowu różnią się w opinii, choć na ogół są do znudzenia jednomyślni (szczególnie w przydzielaniu obowiązków) – mama uważa, że mój przypadek wymaga interwencji dobrego psychiatry, a tata się upiera, że za moim zachowaniem stoi genialny i wybitny umysł literata i że kiedyś zbiję na tym wielką kasę. Wiadomo, osobiście wolę wersję taty i często wyobrażam sobie,

jak by to było, gdybym tą wielką kasą dysponował. Pewnie roztrwonilbym ją w sklepie papierniczym, bo musicie wiedzieć, że zeszyty to coś, co kupuję częściej niż lody czy colę. A w nich zapisuję swoje superhistorie, właśnie te, dzięki którym będę o-brzy-dli-wie bogaty. No chyba że sprawdzą się jednak prognozy mamy.

– Maciek, gotowy do szkoły?



Głos mamy, przez tubalne echo długiego przedpokoju, wygrzmiał jak alarm bombowy i zapowiedź zbliżającej się katastrofy matematycznej. A ja prawie zapomniałem, że dziś piątek. Wiem, wiem, piątek to wolnego początek. Jednak zanim dane mi będzie delektować się tą wolnością od szkoły, czeka mnie jeszcze test z matmy. I teraz trudne

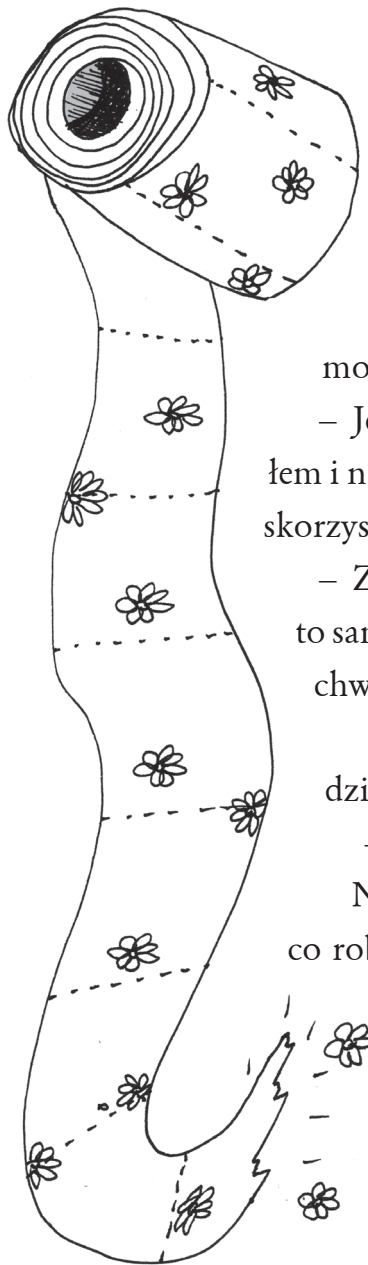


pytanie – czego Maciek nie lubi najbardziej? Oczywiście testów z matmy!

Trudno, raz się żyje. Na szczęście testy można poprawiać do woli, więc liczę na to, że jak będę poprawiał już setny raz, to matematyczka się zlituje i postawi mi dwóję z minusem. I tej właśnie niezwykle optymistycznej myśli będę się dzisiaj trzymał, mierząc się w nierównej walce z geometrią.

Za to jutro będzie super. A wiecie dlaczego? A dlatego, że idę z rodzinką do zoo. To z kolei coś, co lubię prawie tak samo jak szarlotkę z lodami.

A teraz przeproszę was na momencik. Muszę udać się do miejsca, gdzie nawet król chodzi piechotą, bo coś mi się mocno wydaje, że nerwy przed



testami uaktywniły jakiś rój szerzeni w moim żołądku. Znacie to uczucie?

– Czas wychodzić! – Dom wypełnił się złowieszczym głosem mocno zniecierpliwionej mamy.

– Jestem prawie gotowy – odrzyknąłem i nieco ciszej dopowiedziałem: – tylko skorzystam z ubikacji.

– Zaraz się spóźnisz. W koło Macieju to samo, wszystko zostawiasz na ostatnią chwilę.

– Przecież nie mogłem tego przewidzieć. To zresztą zajmie minutkę.

– Już ja znam te twoje minutki.

Nie będę zaśmiewał zeszytu opisami, co robiłem dalej, bo każdy wie, co robi się na białym tronie. Jednak gdy tak na nim siedziałem i oglądałem nasze kafelki w kolorze suchego żwiru, przypomniały mi się

wakacje. Spytacie, co ubikacja ma wspólnego z Egiptem. Normalnie to zupełnie nic. Ale spróbujcie to wytłumaczyć mojej wyobraźni...

A wakacje to miałem naprawdę megawypasione. Rodzice postawili na ciepłe kraje, bo mama uznała, że pogoda w Polsce bywa kapryśna. I to był strzał w dychę. Wyobraźcie sobie – piramidy, mumie, ciepły piasek pustyni – żyć, nie umierać.

Rozmarzyłem się.

Przymknąłem powieki, żeby choć na moment przywołać cudne wspomnienia, i poczułem, jakbym znów jechał na wielbłądzie. Niemal czułem delikatne kołysanie mięciutkiego grzbietu. Rozsiadłem

się jeszcze wygodniej i oparłem się o tynny garb. Nagle coś zaczęło



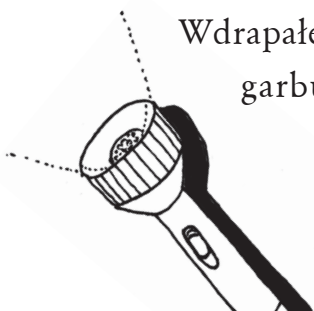
uwierać mnie w plecy. Poprawiłem się, szukając nieco bardziej komfortowej pozycji, ale to niewiele dało. Zirytowany zatrzymałem zwierzę i zeskoczyłem z siodła.

– Co do licha! – wrzasnąłem, właściwie sam do siebie, bo wokół nie było, poza wielbłądem, żywego ducha.

Szybko zorientowałem się, że za mój ból odpowiada coś twardego w plecaku. Zdjąłem go, otworzyłem i znalazłem winowajcę. A właściwie winowajczynię, bo okazało się, że to metalowa latarka. Tylko gdzie ja jestem i co ja tu robię? To Egipt! Znowu jestem w Egipcie? A gdzie moja rodzina?

– Gdzieś ty mnie tu przywłókł? – naskoczyłem na wielbłąda, a ten spojrział na mnie, jakby chciał powiedzieć, że to ja byłem kierowcą. – Ta, jasne, zwal to na mnie! Dlaczego nie poszedłeś za innymi wielbłądami?

W plecaku znalazłem jeszcze lornetkę. Wdrapałem się z powrotem na grzbiet garbusa i rozpocząłem nerwowe



poszukiwania reszty wycieczki. Niestety, jak okiem sięgnąć, żywej duszy. Nikogusieńko. Tylko piach, piach i piach. Zupełnie nie wiedziałem, co mam robić. Jak ich znaleźć? Jeszcze raz mocno się sprężyłem, wyteżyłem wzrok, a musicie wiedzieć, że wzrok to ja mam sokoli (na przykład czekoladę to potrafię wypatrzeć, choćby leżała na najwyższej



półce) i wtedy coś zamajaczyło mi w oddali. Przez chwilę studiowałem znalezisko i dopasowywałem obrazek do znanych mi kształtów. Wreszcie odgadłem, że owe majaki, to piramidy.

– No garbus, jedziemy do piramid – zdecydowałem, popędzając wielbłąda.

Zwierzę puściło się biegiem, mało nie spadłem na pierwszym zakręcie. Zaraz, na jakim zakręcie?! Przecież mieliśmy jechać prosto. Wiedziałem, że to wszystko wina wielbłąda. On w ogóle nie słucha poleceń. Ściągnąłem lejce, kazałem mu



Ha, ha, ha



zawrócić i pilnie obserwowałem jego poczynania, żeby mu już nic głupiego nie strzeliło do tego wielbłądziego łba. Mniej więcej w połowie drogi, kiedy już wyraźnie widziałem przed sobą kontury piramid, przystanąłem, żeby zorientować się, w której części Egiptu jestem. Geografia nie jest moją mocną stroną, ale przecież już tu byłem latem, razem z rodzicami, więc to nie powinno być trudne. Stoję, patrzę i nic.

– Czego szukasz? – Czyjś chrapliwy głos wyrwał mnie z zadumy.

Rozglądam się i nikogo nie widzę.

– Czego szukasz? – powtórzył głos, a ja w osłupieniu odkryłem, że on należy do... wielbłąda.

– To wielbłądy mówią?

– Co się tak dziwisz? U was nie mówią?

– U nas nie ma wielbłądów. No, chyba że w zoo.

– To na czym u was jeździcie?

– Na rowerach, deskach albo samochodem.

– A te rowery z wami nie rozmawiają?

– Zazwyczaj nie.

– Dziwne. To skąd wiedzą, dokąd mają jechać?

– O matko, ja gadam z wielbłądem – nie wiedziałem, czy śmiać się czy płakać.

– To czego szukasz?

– Krzywej Wieży.

– Jakiej Krzywej Wieży?

– Gadać to ty umiesz, ale geografia się kłania. Super słynnej Krzywej Wieży.

– U nas są tylko supersłynne piramidy.

– I Krzywa Wieża w Gizie.

– Ha, ha, ha – wielbłąd parsknął śmiechem. – Aaa, tej supersłynnej wieży. Słyszałem o niej od turystów z Włoch.

– A co też oni mają do tego?

– Niby nic. Tyle tylko, że to eksperci od Krzywej Wieży – garbus wciąż się śmiał.